

Myśl powołania do życia Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego wywołała dyskusję; zwolenników WTK jest wielu, lecz spotkać można również jego przeciwników. Jakież więc są owe argumenty przemawiające za i przeciw? Które z nich przeważają szale?

Każdy sobie — czy razem

Lesław Tokarski

Czytałem kiedyś artykuł, którego autor wywodził, że w Wielkopolsce nie lubi się pracy społecznej, a w każdym razie nie tak, jak gdzie indziej; że urzędnicy nie chcą mieć partnera w postaci stowarzyszeń czy działaczy, z którymi trzeba się liczyć; że obywatel ma zaufanie i szacunek tylko do przedstawicieli władzy. Oto, jaki jest charakter poznaniaków!

Tezy takie, to nie tylko przyćmienie do mitu o mieszkańcach regionu. Mają one znaczenie praktyczne. Gdy ktoś chce przeciwstawić się dla wiadomym sobie celów jakiejś społecznej inicjatywie woła (lub szepce):

„Nie trwómy niepotrzebnie sił! Przecież na naszym terenie to nie ma sensu. Po co angażować siły niewielu społeczników, po co mają tracić czas, skoro wiadomo, że nie spotkają się z szerszym poparciem społecznym. Władze i tak zrobią swoje!”

Za kilka dni odbędzie się Wojewódzka Konferencja Kulturalna, na której ma być powołane do życia Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne. Wydarzenie to samo przez się jest świadectwem fałszywego mitu o wstręcie poznaniaków do społecznej działalności. Konferencja przecież nie będzie rezultatem pracy wąskiego tylko grona ludzi skupionych w Komitecie Organizacyjnym. Będzie ona dorobkiem wielu społeczników, kontynuacją wysiłków tych wszystkich, którzy poświęcili bezinteresownie swój czas w czasie trwania Wielkopolskiego Festiwalu Kulturalnego.

Przebieg Festiwalu był dowodem, nie pierwszym zresztą, że posiadamy w Poznaniu i województwie wielką rzeszę działaczy, którzy nie chcą biernie czekać na inicjatywę organów władzy. Literaci, dziennikarze, plastycy, muzycy, przedstawiciele innych dziedzin sztuki, działacze oświatowi, a także ludzie innych zawodów połączyli swe wysiłki i udowodnili, że obywatel może mieć zaufanie i szacunek dla przedsięwzięć nie firmowanych przez prezydium rady narodowej. Festiwal był także świadectwem, że

większość przedstawicieli naszej władzy docenia inicjatywę społeczną. Nie było tu dwóch stron: reprezentanci rad narodowych — działacze społeczni. Nastąpiło zespolenie myśli i wysiłków. Działacze społeczni czuli się gospodarzami współdecydującymi o sprawach kultury, a przedstawiciele rad uważali się za działaczy społecznych. I to było może najcenniejszym dorobkiem Festiwalu.

Projekt powołania do życia Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego wzbudził pewne obawy, mające związek z owym mitem o charakterze poznaniaków. Doświadczenia Festiwalu świadczą, że tak źle z tym charakterem nie jest, że obawy te w znacznej przynajmniej mierze są nieuzasadnione.

Nie chowajmy jednak głowy w piasek. Wysiłek są również inne zastrzeżenia, bardziej może uzasadnione. Głównym zadaniem Towarzystwa ma być pobudzenie i koordynacja inicjatyw społecznych w celu rozwoju życia kulturalnego. „Czy do tego potrzebne jest WTK?” — zastanawiają się niektórzy działacze.

„To dobrze, że istnieją towarystwa regionalne, że tak owocnie pracują stowarzyszenia twórcze. Ale do koordynowania działalności kulturalnej powołane są już istniejące organa i placówki, takie jak komitety partyjne, komisje koordynacyjne, wydziały kultury rad narodowych oraz komisje techniczne. Czy nie za dużo osrodków mających zespalać pochynania różnych organizacji i instytucji?”

Ostateczną odpowiedź na te wątpliwości udzieli praktyka, ona wykaże, czy i w jakim stopniu potrzebne jest Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne. Dziś można stwierdzić — i to jest istotne — że więcej argumentów przemawia za powołaniem go do życia, niż przeciwko.

Po pierwsze — dotychczasowe metody koordynacji zbyt często nie zdawały egzaminu. Towarzystwa kulturalne, związki twórcze, zakłady pracy, różne organizacje i placówki — rozpraszają swe wysiłki, ba, podnoszą niekiedy do rangi zasady przysłowie: każdy sobie —

rzepkę skrobie. Mimo istnienia tylu ciał koordynujących, występują poważne przeszkody, na przykład ambicje zakładów pracy, które — jak pisał minister Galiński:

„na ogół nie lubią świadczyć na kulturę, a... jeśli już przeznaczają odpowiednie fundusze, to oczywiście chcą je zużytkować tylko na własnym terenie.”

Warto więc chyba szukać nowych metod, które lepiej, niż dotychczas, zespolą inicjatywę ludzką i środki materialne.

Po drugie — doświadczenia innych województw wykazały, że takie towarystwa, jakim ma być WTK — zdały życiowy egzamin, że są potrzebne, bo wytworzą klimat sprzyjający rozwojowi kultury, zwiększają grono działaczy społecznych i ułatwiają realizację cennych inicjatyw. Przykładem mogą być tu województwa: olsztyńskie, zielonogórskie i bydgoskie.

Po trzecie — tworzenie tego typu towarystw jest zgodne z panującą od kilku lat atmosferą, z kierunkiem przemian naszego życia, z dążeniem do rozwoju demokracji socjalistycznej i do decentralizacji. Coraz głośniejsze mówi się u nas, że społeczne działanie powinno być podstawą modelu kultury, że organizacje społeczne powinny mieć prawo współdecydowania w ważnych sprawach swego terenu. Czy towarystwo miłośników miasta, miasteczka i powiatu ma jednak w rzeczywistości prawo do współdecydowania? Czasami tak, ale jeśli znajduje się ono sam na sam z niekompetentnymi lub nie zawsze zrychliwie ustosunkowanymi do spraw kultury przedstawicielami władz — wówczas trudno o nich mówić jako o współgospodarzach. Utworzenie Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego wzmocni ich pozycję, przyspieszy — choć to może paradoksalne — rzeczywistą decentralizację, ułatwi odwoływanie się w razie istotnej potrzeby do władz wyższego szczebla, stworzy reprezentację całego ruchu kulturalnego, która będzie poważnym partnerem rozmów. Można mieć zresztą nadzieję, że w WTK spotkają się, podobnie jak w czasie Festiwalu Kulturalnego, przedstawiciele organizacji społecznych oraz działacze pracujący w radach narodowych, państwowych placówkach kulturalnych i komitetach partyjnych. Towarzystwo zda egzamin jedynie wówczas, gdy będą się oni czuli nie reprezentantami interesów swych organizacji, urzędów i instytucji, lecz — używając nieco patetycznych słów — szermierzami wspólnej sprawy.

Tadeusz Książek
sekretarz ZG TPP-R

Polska jesień przyjaźni

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej rozpocznie okres jesienno-zimowy obchodami rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Budzące podziw całego świata osiągnięcia ZSRR w dziedzinie opanowania Kosmosu, sukcesy w dziedzinie nauki i techniki, radziecka pokojowa polityka — wszystko to wzmacnia autorytet i potęgę Kraju Rad, ułatwia pracę przyjaciół Związku Radzieckiego na całym świecie. Propagując 45-letnie osiągnięcia Kraju Rad TPP-R pragnie w licznych imprezach przypomnieć społeczeństwu polskiemu wkład polskich sił rewolucyjnych, w narodziny i zwycięstwo Wielkiego Października, ukazując równocześnie wpływ Rewolucji Socjalistycznej na życie i pracę naszego narodu.

Konferencje popularno-naukowe, seminaria, spotkania z uczestnikami Rewolucji, odczyty i pogadanki organizowane przez Towarzystwo w tym okresie, poświęcone będą również rozszerzającej się współpracy gospodarczej światowego systemu socjalistycznego, problemom radzieckiej polityki zagranicznej, współpracy w dziedzinie dwóch systemów itp. Dla nauczycieli przewiduje się zorganizowanie konferencji naukowych poświęconych osiągnięciom ZSRR w dziedzinie opanowania Kosmosu, dla młodzieży ogłoszenie konkursu modelarskiego związanego z radzieckimi lotami kosmicznymi, konkursów na najlepsze wykonanie radzieckiej piosenki, recytacje wierszy itp.

Planuje się zorganizowanie Festiwalu Filmów Radzieckich, przeglądu radzieckiej klasyki filmowej, organizowane będą również wystawy książki, plakatu, fotografii tematycznie związane z Rewolucją Październikową.

Już w listopadzie tego roku zorganizowane zostaną tradycyjne już w Polsce Dni Kultury poszczególnych republik radzieckich. Po corocznych, tradycyjnych już „Dniach Kultury”: Białoruskiej, Ukraińskiej, Litewskiej, Gruzińskiej, Republiki Środkowazjatyckich — w tym roku organizujemy Dni Kultury Krajów Nadbałtyckich — Łotwy i Estonii. Przyjazd do Polski estońskich i łotewskich pisarzy, naukowców, artystów, wzbogaca i uatrakcyjni imprezy związane z Dniami Kultury Łotwy i Estonii.

Włączając się do obchodów 100-lecia Państwa Polskiego z okazji setnej rocznicy Powstania Styczniowego, TPP-R podejmuje szereg akcji pod ogólnym hasłem „Tradycje Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w drugiej połowie XIX wieku”. W Warszawie i miastach uniwersyteckich już w grudniu odbędą się sesje popularno-naukowe poświęcone 150-tej rocznicy urodzin wielkiego demokraty rosyjskiego, przyjaciela Polski i Polaków — A. Hercena.

Seminaria, odczyty, imprezy artystyczne, wieczornice, rajdy kolarskie i motocyklowe do miejsc upamiętnionych wspólną walką „Za Waszą Wolność i Naszą” — złożą się na kampanie związane z 100

rocznicą Powstania Styczniowego, z współdziałaniem polskich i rosyjskich sił rewolucyjnych.

Okres jesienno-zimowy w pracy Towarzystwa przebiegać będzie pod znakiem popularyzacji osiągnięć i perspektyw Związku Radzieckiego w dziedzinie elektryfikacji. Zakłada na przez RWPG do 1970 roku realizacja koncepcji elektryfikacji szeregu sąsiadujących krajów według jednolitego planu, wymaga szerokiego oświetlenia wśród naszego społeczeństwa. Temu celowi obok wszechstronnej popularyzacji doświadczeń radzieckich służyć będzie inicjowana przez TPP-R, SEP, NOT i Związek Zawodowy, akcja poświęcona problemom elektryfikacji Związku Radzieckiego, zapoczątkowana lenińskim planem GOELRO.

Wspólnie ze Związkiem Kółek Rolniczych, Związkiem Młodzieży Wiejskiej, Centralą Rolniczą Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” i innymi zainteresowanymi organizacjami działającymi na wsi pragniemy rozwinąć wszechstronną akcję odczytów poświęconą rolnictwu radzieckiemu, polityce wewnętrznej i zagranicznej Związku Radzieckiego.

Razem z amatorskim ruchem artystycznym, świetlicami, domami kultury organizujemy II Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej. Dla tych, którzy swych zdolności artystycznych próbują w amatorskich zespołach teatralnych TPP-R, inicjuje konkurs na najlepszą inscenizację sztuk rosyjskich i radzieckich.

Komisje środowiskowe i problemowe działające przy Zarządzie Głównym i Zarządach Wojewódzkich TPP-R, w porozumieniu z zainteresowanymi organizacjami, również podejmują szereg ciekawych inicjatyw. Komisja Młodzieżowo-Pedagogiczna planuje organizowanie specjalistycznych seminariów dla nauczycieli np. na temat radzieckich badań kosmonautycznych, nowego rozmieszczenia przemysłu w ZSRR, problemów zagospodarowania Syberii itp.

W związku z 75 rocznicą urodzin Antoniego Makareńskiego, w styczniu, lutym i marcu 1963 roku planowane jest zorganizowanie szeregu imprez poświęconych metodom pedagogicznym Makareńskiego i recepcji jego nauk w Polsce.

Klub Gagarina działający przy Komisji Nauki i Techniki TPP-R projektuje zorganizowanie cyklu odczytów połączonych z projekcją filmów poświęconych radzieckim badaniom kosmicznym. 5 października przypada przecież pięta rocznica wystartowania pierwszego radzieckiego sputnika na orbitę okołoziemską. Kontynuowana będzie w terenie ekspozycja dwóch wystaw pt. „Pierwszy człowiek w Kosmosie” i „W rocznicę lotu mjr. Gagarina”.

Całą tę wielką pracę propagandową kulturalno-oświatową prowadzi Towarzystwo przy ścisłej współpracy z Towarzystwem Przyjaźni Radziecko-Polskiej działającym szeroko w ZSRR, którego pomoc ma dla naszego Towarzystwa ogromne znaczenie.

Miroslaw Sanigórski

Legenda i prawda

Legenda jest taka: państwo likwiduje prywatną praktykę lekarską! Prawda jest taka: (mówi minister zdrowia — Jerzy Sztachelski) „Prywatna praktyka lekarska jest zagadnieniem złożonym i wymaga rozważnych, a jednocześnie konsekwentnych rozstrzygnięć”. Rządowy projekt (projekt!) ustawy o zawodzie lekarza, który — nie do końca zrozumiany — zrodził cytowaną legendę, zakłada stopniowe (stopniowe!) eliminowanie prywatnej praktyki z lecznictwa.

W jaki sposób? Obecnie prywatną praktykę wykonuje około 30 proc. naszych lekarzy. Idzie o to, aby ten odsetek lekarzy nie wzrastał. I aby każdy lekarz ubiegający się o prywatną praktykę dopełniał obowiązków pracy na rzecz państwowych jednostek organizacyjnych służby zdrowia. (Dopuszcza się możliwość zwolnienia z tego obowiązku, ale tylko w wyjątkowych wypadkach i za specjalnym zezwoleniem Ministra Zdrowia).

A więc o likwidowaniu prywatnej praktyki nie może być dzisiaj

jeszcze mowy. Byłoby to podcinanie gałęzi, na której „siedzi” służba zdrowia. Zbyt słabo jest bowiem rozbudowane społeczne lecznictwo. Te słabości musi wyrównać prywatna praktyka. Szczególnie na wsi, gdzie procent nieubezpieczonych pacjentów osiąga 80—90 proc. mieszkających. Owa legenda, od której rozpoczęliśmy, narobiła sporo zła krwi. W lekarskie środowiska poszło zawałanie: jak nie będziemy

Prywatna praktyka — tak, ale...

mieć na wsi prywatnej praktyki, to ani nam się nie śni pracować na prowincji! Szkodliwe to zawałanie. Szkodliwe z wielu względów: praktycznych i moralnych.

Po pierwsze: wieś cierpi na chroniczny brak lekarzy. Oto jak kształtuje się wskaźnik lekarzy na 10 tysięcy ludności: miasto Warszawa — 36,6 lekarzy, województwo warszawskie — 5,5, miasto Poznań — 19,6, województwo poznańskie — 6,2, miasto Łódź — 22,5 lekarzy, województwo łódzkie — 6,1, miasto

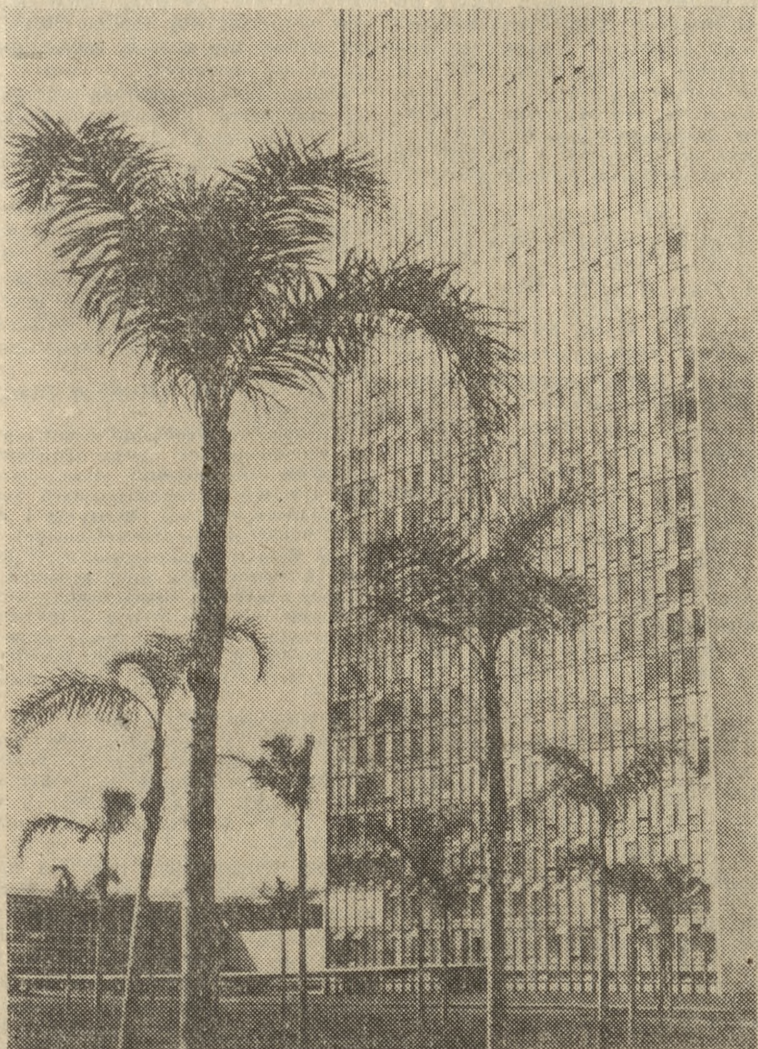
Wrocław — 21,0, województwo wrocławskie — 7,2 lekarzy na 10 tys. ludności.

Dysproporcje szokujące. Nie do przyjęcia.

Jak im się przeciwdziała? W różny sposób. M. in. poprzez bodźce ekonomiczne (pożyczki zwrotne i bezzwrotne, priorytet w zakupie samochodów itp.). Tej normalnej sytuacji przeciwdziała również projekt ustawy o zawodzie lekarza, który wprowadza pojęcie etaty. Jeden etat — jeden lekarz. Obecnie zdarza się, że jeden lekarz okupuje i trzy etaty, albo dwa etaty i jakiś malutki jeden, czy więcej ryczałtów. Prowadzi to do takich paradoksów jak pónaddobowa praca jed-

nego człowieka w ciągu doby! Spowoduje to wreszcie rozgłoszenie kadry lekarskiej. W połączeniu z przepisem ustawy, który dopuszcza prywatną praktykę tylko w wypadku wykonywania pracy na rzecz uspołecznionej służby zdrowia — otrzymamy jeszcze jedną szansę w przemieszczeniu lekarzy z miast na prowincję, gdzie łatwo i o etat i o prywatną praktykę. Ale... Otóż jest i pewne „ale”, owa kolejna szkodliwość zawałania: nie pódjżmy na

Dokończenie na str. 2



Nowa stolica Brazylii — Brasilia

Legenda i prawda

Dokończenie ze str. 1

wieś jak nie zapewnić nam prywatnej praktyki!

Wielu młodych lekarzy traktuje obecnie wieś niczym dojną krowę. Ciągnie ich tutaj nie powołanie, nie interes społeczny, a możliwość dorobienia się, odkucia za chude lata studiów i pracy na chudej posadce. Oczywiście — nie uogólniam, ale w wielu, w bardzo wielu wypadkach tak to, niestety, jest. Mógłbym w tym miejscu rozspać przed wami worek faktów. Nie o to jednak chodzi. Nie chodzi nawet o to, że ktoś tam chce sobie poprawić stopę życiową. To nawet zrozumiałe, o ile nie przekracza dopuszczalnych granic, o ile nie narusza kolejnego przepisu projektu ustawy o zawodzie lekarza, który mówi, że lekarz jest „głównym realizatorem fachowych założeń socjalistycznej służby zdrowia” i że jego pierwszym i naczelnym zadaniem jest leczyć, a dobro i interes pacjenta mieć zawsze i przede wszystkim na uwadze.

Dr S., dyrektor szpitala żądał pieniędzy za przyjęcie do szpitala, nawet i wtedy, gdy życie pacjenta było zagrożone i konieczny był natychmiastowy zabieg.

Dr R. z małego miasteczka w woj. warszawskim przyjmował w ośrodku zdrowia prywatnych i ubezpieczonych pacjentów. Z tym jednak, że prywatnym dawał zawsze pierwszeństwo przed ubezpieczonymi. Nawet wtedy, gdy pomoc ubezpieczonemu pacjentowi była nieodzownie potrzebna.

Niektórzy lekarze bez skrupułów żądają horrendalnych nieraz honorariów. W tym zakresie panuje zupełna samowola. Projekt ustawy o zawodzie lekarza upoważnia ewentualnie ministra zdrowia do szczegółowego unormowania zasad prywatnej praktyki i odpłatności za świadczenia w uspołecznionych jednostkach służby zdrowia. Wydaje mi się, że w ustawie powinno się znaleźć katarygiczne zalecenie: minister zdrowia jest zobowiązany do ustalenia stawek honorariów poprzez osobny akt prawny.

Na koniec chciałbym zaprotestować przeciwko zrównaniu w projekcie ustawy spółdzielni lekarskich z pojęciem prywatnej praktyki. Wydaje mi się, że w interesie lecznictwa socjalistycznego leży rozwój tych placówek, które stanowiące powinny formę przejściową między lekarskimi gabinetami płatnymi a lecznictwem uspołecznionym. Obecne potraktowanie tej sprawy w projekcie nie będzie z pewnością zachętą do tworzenia nowych spółdzielni, stanowiących przecież najwłaściwsze uzupełnienie społecznej służby zdrowia, a jednocześnie stwarzających pożądaną konkurencję dla prywatnej praktyki.

MIROSLAW SANIGÓRSKI

Rozmowa z prokuratorem m. Poznania mgr. Włodzimierzem Wilke

PROKURATOR OTKAŁĘŻA I OTYMI

Sytuacje takie są dość powszechne: prokurator Y oskarżał przed sądem obywatela Kowalskiego o to, że naruszył mienie społeczne. Prokurator X pozwał wolności obywatela Noaka — kierownika sklepu — bowiem ten sprzeniewierzył się swemu pracodawcy i nie oddał do banku utargu dziennego. Dalsze konsekwencje wiadome. Ława oskarżonych i więzienie, dwie „przykre” instytucje, dwa groźne słowa, które każdy wymawia z respektem. I chyba dlatego prokurator staje się w oczach wielu ludzi — nie wyłączając potencjalnych przestępców — człowiekiem surowym, zimnym i bez serca. Słowem działalność pana urzędu — panie prokuratorze — jest niepopularna.

I tu na pewno dzieje się krzywda naszemu zawodowi. Wszelkie bowiem czynności prokuratorskie podejmowane są w interesie społeczeństwa, w „obronie własności” czy też ładu społecznego, a więc bezpośrednio lub pośrednio w interesie każdego obywatela z osobna.

Z tego wynika chyba jeszcze inna konsekwencja, o której pan prokurator zapewne powie. Mam na myśli ochronę Prawa — przez duże „P” — nie tylko wobec występku obywateli, ale także wobec niepraworządności organów władzy.

I słusznie, rola nasza nie ogranicza się do zamykania awanturników i oskarżania defraudantów, czy złodziei. Ustawowy zakres działania prokuratora nakazuje mu wiele innych czynności, jak: ochrona praw obywateli, nadzór nad ścisłym przestrzeganiem prawa przez wszystkie organy władzy i czuwanie nad zgodnością aktów i innych czynności władz oraz urzędów z przepisami prawa. Prokurator sprawuje także nadzór nad prowadzonymi przez MO dochodzeniami oraz czuwa nad prawidłowym i jednolitym stosowaniem przepisów prawa przez sądy. Na przykład prokurator popiera oskarżenie przed Sądem, ale też zakłada niesłuszne wyroki, jeśli naruszają one przepisy prawa procesowego lub karno-administracyjnego. Kwestionuje za niskie — jego zdaniem — wyroki, ale też wnosi o uniewinnienie, jeśli przewód sądowy nie dostarczył dostatecznych dowodów winy oskarżonego.

Sądze, że najistotniejszy — przynajmniej dla naszych Czytelników — będzie rozwijający się coraz bardziej dział pracy prokuratorskiej określony mianem nadzoru ogólnego.

go. Dzięki niemu bowiem każdy, kto czuje się pokrzywdzony decyzją na przykład Prezydium MRN czy PRN może złożyć skargę w prokuraturze.

— Oczywiście. Obywatele z prawa tego nierzadko korzystają. W praktyce naszej pracy skargi często okazują się jednak bezzasadne. Można śmiało ocenić, że zaledwie co czwarta skarga jest słuszna i ujawnia naruszenie przepisów prawa. Być może dzieje się tak dlatego, że w Poznaniu co najmniej 85 procent wniesionych do nas spraw dotyczy skomplikowanych, trudnych do rozstrzygnięcia kwestii lokalowych. A więc kwestionują ludzie postępowanie egzekucyjne, niewykonywanie prawomocnych orzeczeń, wyłączenia spod publicznej gospodarki lokalami, przydziały mieszkań itp. Chciałbym dodać, że poza czynnościami już wyżej omówionymi w ramach nadzoru ogólnego, zajmujemy się badaniem orzecznictwa karno-administracyjnego we wszystkich przydziałach dzielnicowych rad narodowych, badaniem uchwał rad narodowych oraz przydziałów tych rad, a nadto badaniem legalności decyzji Zakładowych Komisji Rozjemczych. Na przykład ostatnio wnieśliśmy odwołanie od pewnego orzeczenia Kolegium Karno-Administracyjnego przy Prez. DRN Stare Miasto, dlatego, że wydano je nie wezwawszy na rozprawę obwinionej oraz świadków a ograniczono się wyłącznie do odczytania materiałów znajdujących się w aktach sprawy. Służę jeszcze innym przykładem. Niedawno spowodowaliśmy wniesieniem przez nas sprzeciwem uchylenie decyzji Miejskiej Komisji Lokalowej w sprawie wyłączenia lokalu spod publicznej gospodarki. Uznaliśmy bowiem wyłączenie za sprzeczne z przepisami prawa. Rzecz polegała na tym, że właściciel willi dokonał sztucznego podziału (dom podzielił formalnie na własność swoją i żony choć stanowiąli oni jedną rodzinę, razem mieszkającą) i tą drogą chciał ominąć przepisy prawa.

— Jeśli każdy obywatel ma swobodny dostęp do Prokuratury, to po co wobec tego co tydzień, w poniedziałki — przyjmowane są dodatkowo skargi i zażalenia. Nie chodzi tu chyba o zażalenia do Szefa Prokuratury na jego podwładnych?

— Dlatego? Przecież prokurator też człowiek i może popełnić błąd. Czy dlatego obywatel ma pozostać wobec tych błędów bezsilny? Co prawda tego typu zażalenia zdarzają się bardzo rzadko, ale to ich nie wyklucza. Nasi poniedziałkowi pe-

tenci to jednakowoż przeważnie ludzie szukający dobrej prawniczej rady, sygnalizujący dokonane przestępstwa, proszący o uchylenie aresztu lub przyspieszenie dochodzenia. Przychodzą żony mężów-piśników, udreżeni współlokatorzy i maltretowani starzy rodzice, zaszczuci przez kliki i „rozrobieni”. Wielu wśród nich takich, którzy przychodzą bo już nigdzie nie spodziewają się znaleźć pomocy. Rzecz jasna, że wszystkie te skargi i zażalenia rozpatrujemy sumiennie, nadając im — w zależności od rodzaju sprawy — właściwy urzędowy bieg. Znowu dam przykład. Zażalił się do nas ob. Zbigniew N. na niesłuszną decyzję Zakładowej Komisji Rozjemczej, która zlekceważyła jego wniosek w sprawie niezapłaconych nadgodzin. Po zbadaniu okazało się, że rzeczywiście ZKR postąpiła niezgodnie z przepisami i na nasze wystąpienie, stanowisko swoje zmieniła.

— A więc prokurator to także w pewnym sensie działacz społeczny. Do takich chyba bardziej społecznych niż formalnych obowiązków należy zapewne działalność zapobiegająca przestępczości. Wiem, że polega ona głównie na spotkaniach prokuratorów z załogami przedsiębiorstw, a te odbywają się nader

często po południu, poza godzinami pracy.

— Tak jest w istocie. Takich spotkań mieliśmy w I półroczu br. aż 27. Dają one dobre wyniki. Z jednej strony bowiem stykamy się tam z poparciem robotników dla naszej niełatwej pracy (robotnicy domagają się np. bardzo surowych kar dla malwersantów), z drugiej informując o źródłach przestępczości i szkodach — wpływamy chociaż w pewnym stopniu na spadek liczby przestępstw.

Spotkania te nie są jedyną formą profilaktyki. Na podstawie przeprowadzonych śledztw i dochodzeń sporządzamy także wystąpienia kierowane do przedsiębiorstw, a zawierające liczne zalecenia i wnioski, które zmierzają do usunięcia niedociągnięć organizacyjnych w przedsiębiorstwie, sprzyjających popełnianiu różnych przestępstw.

— Słowem, działacie — mówiąc humorystycznie — na własną szkodę, bo może zabraknąć dla prokuratorów pracy.

— Oby takie szkody było jak najwięcej. Bylibyśmy nawet gotowi przejść do innego działu pracy prawniczej...

Rozmawiał:

Zbigniew Mika

Józef Lubojański

Legitymacja wobec przeszłości

Polskie lato 1962 w NRF (III)

W NRF nieraz zarzuca się Polakom, że doświadczenia wynikające z przeszłości sto sunków polsko-niemieckich nadmiernie i obsesyjnie ciążyą na ich świadomości nad teraźniejszością.

Marion Doenhoff pisze w „Die Zeit” (nr 38 z 21. IV. 1962 r.):

„Znamyśmy meczące rozmowy z obywatelami polskimi, którzy odpowiadali Republiki Federalnej: nie upłynęło dziesięć minut, a nieuchronnie jest się przy temacie „Globoke”, „Reinefarth”, „Oberlaender” i „hitlerowskie generałowie”; potem automatycznie następuje dyskusja o granicy, która znowu wywołuje temat „rewizjonizm”.

Autorka — przybywszy do Polski — jest zdumiona, kiedy stwierdza: „Nigdy nie sprowadza się rozmowy na to, co się tu działo, w czasach hitlerowskich”.

Chociaż: „Kiedy się pyta o wykształcenie, o czasy studenckie, o miasto rodzinne, wtemczas okazuje się, że każdy, doprawdy każdy Polak ma swoją tragedię okupacyjną”.

Tak więc określonymi drogami rozmowy między Niemcami z NRF a Polakami schodzą jednak na przeszłość okupacyjną w Polsce i na teraźniejszość polityczną w NRF, a wtedy Polacy pytają:

„Globoke jest przecież znany. I Oberlaender. Jak się to dzieje, że ciągle jeszcze mogą oni być czynni w polityce? Dla czego inni otrzymują wysokie emerytury?”

Są to dla dziennikarzy zachodni-niemieckich kłopotliwe pytania. My także wolelibyśmy nie stawiać takich pytań. Nas one także mierzają, ale jeszcze bardziej mierzają nas: Globoke, Oberlaender i wielu im podobnych urzędników, ideologów, sędziów i generałów III Rzeszy, czynnych w życiu publicznym NRF.

Cóż sensownego mogą odpowiedzieć dziennikarze z NRF na takie polskie pytania. Chyba tylko to, co korespondent „Sternu” (nr 34 z 26. VIII. 1962 r.) odpowiedział swojemu polskiemu rozmówcy:

„Drogi Marianne Nawolki, to jest niezrozumiałe nie tylko dla Pana, ale także dla mnie i wielu Niemców”.

Dziennikarze zachodni-niemieccy swoje podróże po Polsce zaczynają zwykle od Warszawy. I oto od razu nasza stolica, dla której odbudowy i nowoczesnej architektury znajdują słowa entuzjastycznego nieraz uznania, zmusza ich do refleksji i zadumy nad niedawną przeszłością Polski, tak tragiczną splecioną z niedawną przeszłością Niemiec.

Hans Gerlach pisze w „Koelner Stadtanzeiger” (nr 173 z 28/29 sierpnia 1962 r.):

„Stare portale, małe wykusze, nisze, stylowe uchwyty u bram, ciężkie sklepienia; nie nie przypominają, że wszystko to była pustynia gruzów, krajobraz ruin, na ostatku planowo i na rozkaz zniszczone...”

Marion Doenhoff w cytowanym wyżej artykule w „Die Zeit”:

„Przy takim spacerze po Warszawie trudno się pozbyć dreszczu zgrozy. Rozkaz Fuehrera po powstaniu warszaw-

skim w sierpniu 1944 r. brzmiał, że miasto należy zrównać z ziemią. SS była do kłada. Kiedy odeszła, tylko 2.000 ludzi żyło jeszcze w norach i gruzach tego milionowego niegdyś miasta”.

Richard Thillenius w „Sueddeutsche Zeitung” (nr 206 z 28. VIII. 1962 r.):

„W całości odbudowa jest zakończona, miasto ma znowu swoje zwarte oblicze. Jasno rysuje się jego czysta sylwetka na wysokim brzegu Wisły na tle szero-kiego nieba, piękne — stare i nowoczesne miasto na przesiąkniętej krwią ziemi”.

Być może, że dziennikarze zachodni-niemieccy, którzy zwiedzili Warszawę, lepiej zrozumieją, dlaczego dla Polaków sprawy Bachów i Reinefarthów, Globoke’ów i Oberlaenderów nie są zakończone.

Publicysta „Sueddeutsche Zeitung” pisze:

„Jef (Warszawy — dop. aut.) odbudowę w okresie największych trudności materialnych należy cenić przede wszystkim jako wielkie osiągnięcie moralne, jako legitymację dzisiejszego narodu polskiego wobec własnej historii”.

To prawda i jest to pięknie powiedziane. Ta „legitymacja wobec własnej historii” obejmuje także obowiązki czujności, aby stolica Polski nigdy więcej nie została zmieniona w „pustynię gruzów”.

Dziennikarze zachodni-niemieccy są zaskoczeni stosunkiem Polaków do przeszłości nie tylko na przykładzie warszawskiej Starówki. Zdumiewa ich pieczołowitość, z jaką zostały odbudowane dawne dzielnice w Gdańsku, we Wrocławiu i w wielu mniejszych miastach, owa rzetelność wobec przeszłości historycznej, w której odbicie znajduje przecież także niemiecki dorobek kulturalny na polskich ziemiach zachodnich i północnych.

Hans Gerlach („Koelner Stadtanzeiger”) pisze:

„...ratunek we Wrocławiu został nie tylko utrzymany, ale nawet odbudowany, podobnie jak wszystkie stare budowle, tam i w wielu innych miastach Śląska, w Gdańsku, Elblągu, Olsztynie i wszędzie. Polacy mogli przecież postąpić inaczej... W matych miasteczkach, Pyskowicach i Toszku, stare domy w rynku, które były zniszczone, odbudowano niemniej starannie niż Stare Miasto w Warszawie. Na przedmieściach zbudowano nowe bloki mieszkalne... Polacy sami ożywiłi znowu przeszłość, oczywiście, inną, piękniejszą...”

A Richard Thillenius: „Świadczy to o obiektywizmie i rzetelności poczucia historycznego Polaków, że odbudowali Malbork, który był przecież siedzibą ich zaprzysiężonych wrogów, prawie że symbolem germanizacji Wschodu”.

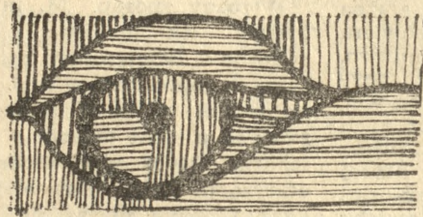
Taka właśnie jest postawa narodu polskiego w tych sprawach. Szacunek dla dorobku kulturalnego przeszłości także wtedy, kiedy obejmuje on elementy obcego, w tym wypadku — niemieckiego dorobku. Równocześnie jednak nieprzejednany stosunek do tej przeszłości, której żywym symbolami są Globoke, Oberlaender, Bach, Reinefarth i inni.

Na pewno nie jest to obsesja antyniemiecka.

Eugeniusz Morski

Oczy

Na szosach oczy lśnią nocami
nisko nad rowem,
jak gdyby ktoś przydrożny kamień
ogniem szlifował.



Po zakamarkach ciemnych żarzą
w futerkach szarych,
jednak swojskie ludzkim twarzom
i sówim szlarom.

Ze są stworzone nie na miarę
kamiennych rzeczy,
głębokie, drażne jak radary
sondują wieczność.

Tuż obok krzemów, oliwinów
i rud żelaznych
odrębne, żywe świecą inną
jasnością własną.

Metafizyczne, niedorzeczne
lub chciwe przyczyn
jednoczą jasną myśl człowieczą
z instynktem wilczym.

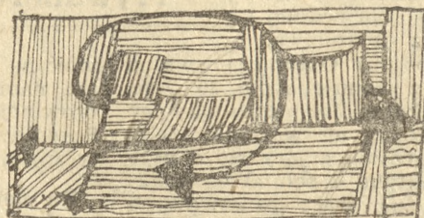
Dreszcz

Przepiękna jesteś do zawrotu
głowy, do drżenia rąk i warg,
symbiozo wnętrza mej istoty —
odczucia kształtów, dźwięków, barw.

Lecz za tym kręgiem świat jest duży,
nie tylko ty, nie tylko ja,
trutnie w podniebne mkną podróże,
głuszyce wabią w leśnych mchach.

Jest obce piękno w kroplach miodu,
jest zamiast rymu głuszcza szlif,
dlatego w życiu twej urody
prócz ludzi nie dostrzega nikt.

Za to potworna jesteś chyba
dla świata żywych, dróg twych szła
omija dziki zwierz i ryba
i wzrokiem wytropiony ptak.



Stapasz po polach wziętych siłą
pod wzrost skartowaciętych wierzb,
nawet największa twoja miłość
atawistyczny budzi dreszcz.

Władysław Jakubowski

Pozdrowienia od Dalidy

Korespondencja własna z Paryża

U mówiłem się na godz. 17.30. Jestem punktualny. Wita mnie sekretarka, Jacqueline przeprasza, że Dalida spóźni się parę minut, ponieważ akurat pojechała obejrzeć swoje nowe mieszkanie. Na lewo w przedpokoju salonik, tradycyjny kominek, dwa fotele, kanapa, duży nowoczesny telewizor, stół z wazonem pełnym kwiatów, obrazy bez ram — jak się potem dowiedziałem malowane przez narzeczonego Dalidy — J. Sobieskiego.

W oczekiwaniu na Dalidę rozmawiamy z sekretarką i panem Sobieskim. Okazuje się, że znakomita piosenkarka bar-



dzo dobrze zna Polskę, otrzymuje bowiem codziennie kilka listów od swoich wielbicieli. Podczas mojej wizyty pokazyano mi właśnie list z Gliwic.

Po chwili zjawia się Dalida, jest pełna temperamentu, żywo dyskutuje z wszystkimi (ze mną również) na temat swego mieszkania, urzążeń, ulepszeń, z miejscą wytwarza bardzo przyjemny nastrój, bez żadnej pozy, sztuczności, pełna serdeczności i trochę lakoma. Z apetytem konsumowała naszą czekoladę, chwaliąc sobie bardzo jej smak i obiecując wiele, wiele jej spożywać podczas projektowanego tournée po Polsce.

Proszę o błyskawiczny wywiad, z którego dowiadujemy się, że:

- ▲ urodzona jest w Italii
- ▲ ma dwóch braci
- ▲ w młodości był z niej nie lada łobuz, bawiła się przeważnie z chłopcami
- ▲ bardzo lubi pić nożną
- ▲ zawsze marzyła o karierze artystycznej
- ▲ pierwsza nagroda: para pończoch na konkursie piękności
- ▲ od 1954 roku rozpoczyna się kariera piosenkarska, śpiewa w różnych kabeletach, między innymi w „La Villa d'Este”, „Drap D'Or”
- ▲ sukces w „Olympii” w 1956 utorował jej drogę do kariery światowej
- ▲ w 1959 zdobywa nagrodę „Les Braves du Music-Hall”, a następnie Radia Monte Carlo
- ▲ nagrała około dwustu melodii na płytach
- ▲ najwięcej żałuje, że nie ma zielonych oczu (a jakie ma, to wszyscy się prze konacie podczas jej występów w Polsce)
- ▲ kolory sukien: białe, niebieskie, różowe i czasami zielone, to podstawowe barwy jej garderoby. Najwięcej jednak lubi kolor niebieski
- ▲ ma wielką intuicję i jest bardzo zdrowa. W tym momencie kieruje srogie spojrzenie w stronę pana Sobieskiego
- ▲ jest domatorką i największą przyjemność sprawia jej urządzanie wnętrza swojego mieszkania
- ▲ w pracy, zawodowej jest bardzo nerwowa. Nad przygotowaniem nowej piosenki pracuje bardzo długo, nie rzadko kilka tygodni, wyrzekając się wtedy papierosów (a jest natogową palaczką) i wina, które uwielbia
- ▲ nie używa maskotek, nie jest hazardzistką, ale za to szaleje za twistem
- ▲ najwięcej lubi śpiewać o miłości
- ▲ ulubieni piosenkarze, to w pierwszym rzędzie Edith Piaf i Yves Montand. Podobą jej się również Sacha Distel i Henri Salvador
- ▲ już musi się ze mną pożegnać, ponieważ ma cykl koncertów w pobliżu Paryża, ale obiecuje, że się spotkamy w Warszawie.

Poza tym dodam, że jest przystojna, urocza, zgrabna i ma przepiękne włosy, opadające na ramiona, ach!...

Wraz z rozwojem kultury muzycznej rośnie zapotrzebowanie na artystów — muzyków, tych „szeregowych”, członków orkiestr i na tych najświetniejszych, których nazwiska na afiszach ściągają do sal koncertowych tłumy melomanów, na muzyków wirtuozów. W naszych czasach nie może już zaspokoić głodu muzyki kilku znakomitych artystów, objężdżających z występami Europę, jak to robił w ubiegłym stuleciu Paganini, Chopin albo Liszt. Dziś potrzebujemy dziesiątków muzyków o najwyższych umiejętnościach wykonawczych. W samej Polsce mamy przecież kilkanaście orkiestr symfonicznych, a każda z nich daje co tydzień koncert, no a przecież w większości koncertów musi wziąć udział wirtuoz skrzypiec czy fortepianu, bo... publiczność bardzo to lubi.

Skąd brać taką liczbę znakomitych artystów, w jaki sposób wyłansować ich nazwiska, wprowadzić je w szeroki świat. Sposób wynaleziono: konkursy. Spełniają one podwójną rolę. Pozwalają wyeliminować spośród kilkudziesięciu najlepszych w danym okresie młodych artystów tych kilku najznakomitszych, oraz porównać szkoły muzyczne różnych narodów, a poza tym jaką wspaniałą są one propagandą samej muzyki, jakie rzesze nowych melomanów zdobywają. Przekonał się o tym choćby u nas w Poznaniu podczas kolejnych Międzynarodowych Konkursów Skrzypcowych im. Henryka Wieniawskiego. Oto przed nami kolejna, czwarta już wspaniała impreza pod wezwaniem tego wielkiego kompozytora i wirtuoza (IV Konkurs odbędzie się w dniach 4—18 listopada br.).

Na tydzień przed rozpoczęciem Konkursu pora dogodna na przypomnienie sobie poprzednich. Oto rok 1935. W Warszawie z inicjatywy Adama Wieniawskiego, bratanka genialnego skrzypka, odbyła się I Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego. Mija właśnie sto lat od chwili urodzin Henryka, kiedy jego bratanek Adam stał na czele jury konkursowego, by przepuścić przez sito ocen 55 uczestników z 16 państw pozostawić wśród nagrodzo-

Polskie Towarzystwo Psychologiczne zostało utworzone 9 maja 1949 roku dzięki wielkiej inicjatywie prof. dr. Stefana Błachowskiego. Na pierwszym organizacyjnym posiedzeniu wybrano Jego na pierwszego przewodniczącego PTP, którą to funkcję pełnił do ostatnich dni swego życia. Dzięki Jego wysiłkowi i pracy zostało zorganizowanych 11 oddziałów PTP, do których należą psychologowie pracujący w różnych placówkach.

Do tego czasu istniejące Towarzystwa miały zawężony zakres działania, jak na przykład Polskie Towarzystwo Psychologiczne zorganizowane w Warszawie z inicjatywy Władysława Weryhy w 1907 roku, Polskie Towarzystwo Badań Nad Dziećmi zorganizowane w tym samym roku w Warszawie dzięki staraniom Władysława Davida, Władysława Weryhy i Anieli Szybczyńskiej czy też Poznańskie Towarzystwo Psychologiczne zorganizowane z inicjatywy Prof. Błachowskiego. Obecnie Polskie Towarzystwo Psychologiczne jest pierwszą organizacją w kraju o charakterze ogólnopolskim, która skupia o ile możliwości wszystkich psychologów pracujących na różnych odcinkach naszego życia. Towarzystwo stało się najpoważniejszym ośrodkiem ruchu naukowego w dziedzinie nauk psychologicznych w kraju. Doroczne zjazdy naukowe, a było ich 10, organizowane w różnych miastach, pozwalały na omawianie ważniejszych problemów.

W Poznaniu odbyły się dwa zjazdy naukowe PTP. Jeden w roku 1955, a drugi w roku 1958. W obecnym roku Oddział Poznański w dniach 29, 30 października organizuje po raz trzeci doroczny Zjazd PTP, na którym zostaną przedstawione sprawozdania z aktualnie prowadzonych prac badawczych w poszczególnych ośro-

Teodor Śmiełowski

Aura poetycka pantomimy Tomaszewskiego

Po raz piątą mam przyjemność oceniać w Poznaniu nowy program pantomimy Henryka Tomaszewskiego w siódmym roku jej istnienia, po wielu międzynarodowych sukcesach z paryskim na czele (wyróżnienie na Festiwalu Teatrów Narodów w Paryżu medalem Zawodowej Krytyki Dramatycznej i Muzycznej za najlepszy spektakl choreograficzny oraz nagrodą Międzynarodowego Klubu Młodej Krytyki za poszukiwania artystyczne), a ostatnio po otrzymaniu zaszczytnej nagrody państwowej.

W 1958 roku po raz pierwszy na łamach prasy poznańskiej sygnalizowałem „świat polskiej pantomimy” z rodowitym poznańskim jako jej twórcą — Henrykiem Tomaszewskim, „spadkobiercą sztuki starej jak świat”.

Ostatni program znany jest w większości publiczności poznańskiej z wyjątkiem nowej wersji „Jasełek” — polskiej pantomimy ludowej i etiudy pantomimicznej pt. „Człowiek i ptak”, do których w zasadzie ograniczył swoją ocenę. Poprzednio pokazywał obrazy pantomimiczne („Idea”, „Ziarno i skorupa”, „Książka”, „Rendez-vous X 3” oraz „Woycekk” z H. Tomaszewskim na czele) uległy jeszcze większej kondensacji formalnej i ekspresji treściowej, choć tak duży ładunek programowy jest nieco nużący dla przeciętnego widza.

Wytrwałe studia, rzadko spotykana samodzielność, samozaparcie i talent złożyły się na zbiorowy sukces zespołu H. Tomaszewskiego, eksperymentującego coraz dojrzalej i swobodniej — poprzez poezję ruchu — różnymi formami inscenizacji, barwy, światła i dźwięku. Ruch ciała stał się bowiem i tu

nych tak świetne do dziś w światowej kulturze muzycznej nazwiska jak m. in. Ginette Neveu (Francja — zginęła w katastrofie samolotowej w 1949 r.), Dawid Ojstrach (ZSRR), Bronisław Gimpel (Polska), czy wśród obdarzonych dyplomami takie jak Grażyna Bacewicz (Polska). Kto wie, czy tak wspaniały pion pierwszego konkursu nie zadecydował o sławie, jaką zyskała sobie ta nasza impreza muzyczna na całym świecie? Przecież wymienione nazwiska, jak i szereg innych, do dziś znajdują się w czołówce sław wirtuozerskich świata.

Celem organizatorów było powtarzanie Konkursów Wieniawskiego co pięć lat. Wojna przeszkodziła w zorganizowaniu kolejnego w 1940 r., a potem trzeba było nieco czasu, by wychować kadry młodych adeptów wiolinistyki — kandydatów do konkursu, a także by przygotować odpowiednie warunki do zorganizowania takiej poważnej imprezy.

Tak więc II Konkurs odbył się dopiero w 1952 roku i to w Poznaniu, który od tamtego stał się stałą siedzibą Konkursów.

Nie był to zły wybór. Poznań miał już wówczas i ma do dziś świetną operę, filharmonię, znakomitą (jedną z najlepszych w Europie) salę koncertową oraz bogate, bardzo rozwinięte szkolnictwo muzyczne. Ale i tradycje są po naszej, poznańskiej stronie.

Wieniawski w onych, dalekich czasach szczególnie lubił koncertować w Poznaniu, tutaj także tworzył i chętnie przebywał. Przeważnie kończył swoje występy w naszym mieście wykonaniem swojego utworu zatytułowanego „Souvenir de Poznań”. Słynne było jego 11 koncertów danych w 1854 roku w sali poznańskiego Bazaru wraz z bratem Józefem, kiedy to na każdym z kon-

Konkursy i wirtuozi

MIECZYSLAW SKĄPSKI

certów występowali z innym programem! Niejeden utwór Henryka posiada w rękopisie notatkę, że skomponowany został w Poznaniu.

W dobrej więc aurze restiurowano ideę Konkursów Wieniawskiego w oddrodzonej Polsce. Jury pod przewodnictwem Tadeusza Szelińskiego miało nie lada zadanie wyłonić najlepszych spośród 23 skrzypków z 8 państw wśród których kryło się wiele, wyjątkowo wiele wybitnych indywidualności. Przypomnijmy nagrodzonych: Igor Ojstrach (ZSRR), Wanda Wilkomirska (Polska), Julian Sitkowiecki (ZSRR), Blanche Tarjus (Francja), Marine Jaszwilli (ZSRR), Olga Parchomenko (ZSRR), Emil Kamiłow (Bulgaria), Edward Statkiewicz (Polska), Igor Iwanow (Polska), Henryk Patulis (Polska), Csaba Bohay (Węgry). I znowu Konkurs Wieniawskiego wyłansował nazwiska, które do dziś blyszczą jak gwiazdy pierwszej wielkości na firmamencie światowej muzyki.

Kolejny konkurs odbył się już we właściwym terminie, po pięciu latach, a więc w 1957 r. Zmodyfikowano go jednak poważnie, w porównaniu z poprzednimi dodając do Konkursu: Kompozytorski i Lutniczy. Odtąd więc w ramach międzynarodowych konkursów im. H. Wieniawskiego wyłaniamy nie tylko najlepszych skrzypków, ale i najlepsze skrzypce, ułatwiamy także start młodym kompozytorom. W III Konkursie Skrzypcowym na czele jury stanęła Grażyna Bacewicz, a wśród wiceprzewodniczących Dawid Ojstrach. A więc sędziami są już laureaci I Konkursu, obecnie czołówka światowej pedagogiki, wirtuozerii, mistrzowie kompozycji. Wśród nagrodzonych nie ma tym razem Polaka. W kolejności miejsca nagrodzone zajmują: Roza Fajn (ZSRR), Sidney Harth (USA), Mark Komissarow (ZSRR), Agustin Leon - Ara (Hiszpania), Ayta Erduzan (Turcja), Władimir Malinin (ZSRR).

Tym razem nie mieliśmy już do czynienia z tak błyskotliwymi indywidualnościami jak na poprzednich konkursach (może z wyjątkiem Sidney Hartha, który utrwalił

później swoją pozycję solisty światowej sławy). Podkreślano wprawdzie ogólnie jego bardzo wysoki poziom i wyrównane przygotowanie uczestników, ale nie wyszły zeń takie nazwiska jak na poprzednich konkursach. Spełnił on oczywiście swoją rolę zarówno jako próba sił najlepszych muzyków-wiolinistów tego czasu, konfrontacja tendencji panujących w poszczególnych narodowych szkołach skrzypcowych oraz jako popularizacja muzyki skrzypcowej. Ostatecznie niczego więcej się po konkursach na ogół nie oczekuje. Ojstrachowie czy Wilkomirska to są zdarzenia muzyczne typu wyjątkowego.

I oto stajemy przed kolejnym Konkursem.

Odbył się już dwukrotnie pierwszy raz: Konkurs Kompozytorski w lutym (I miejsce dla znakomitego kompozytora Michała Spisaka, polskiego kompozytora mieszkającego stale w Paryżu) oraz majowy Konkurs Lutniczy, którego owocem są doskonałe skrzypce będące w państwowej kolekcji instrumentów, a obecnie oddane do użytku polskiej ekipie na Konkurs Skrzypcowy. Tak oto tworzą się bezpośrednie zupełnie więzi pomiędzy poszczególnymi konkursami imienia mistrza Wieniawskiego.

Do tego najbardziej dla szerokiej publiczności atrakcyjnego konkursu stajemy tym razem z wyjątkowo liczną, bo aż 11-osobową ekipą, podobno dobrze wyszkoloną i na doskonałym poziomie. Nic więcej jednak o niej lepiej nie piszmy, aby nie zapeszyć. W końcu nie tylko my przygotowywaliśmy się do Konkursu! Ważne będzie nie to jak nasi umieją grać, ale jak potrafią to robić na tle kandydatów z innych narodowości.

PTP - znaczy psychologia

Doc. dr Bolesław Hornowski

Przewodniczący Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Psychologicznego Kierownik Katedry Psychologii UAM

kach naukowych. Natomiast w niedzielę, 28 października br. PTP organizuje w auli UAM Akademię ku czci prof. dr. Stefana Błachowskiego, oddając hołd Jego pracy i wysiłkowi włożonemu w rozwój psychologii polskiej.

W latach 1929—1939 PTP zajęło się wydawaniem czasopisma „Kwartalnik Psychologiczny” o zasięgu międzynarodowym. Redagowanie jego spoczęło w rękach prof. Błachowskiego. Latem 1939 roku, tuż przed samą drugą wojną światową został ukończony druk XII tomu. Gdy Niemcy weszli do Poznania, od razu rozpoczęli niszczycielską działalność. Ofiarą ich stał się także i XII tom „Kwartalnika Psychologicznego”. Nie powstrzymała ich i ta okoliczność, że „Kwartalnik Psychologiczny” był czasopiśmie naukowym wydawanym w czterech językach przy współpracy wielu wybitnych zagranicznych psychologów. Cały nakład został zniszczony. Ku upamiętnieniu tego barbarzyńskiego czynu Redakcja „Kwartalnika Psychologicznego” postanowiła nie wznawiać tomu XII, a przekazać go historii jako nieukończony. W roku 1947 został wydany tom XIII, a w 1948 tom XIV.

najbliższym instrumentem ekspresji, eliminującym tak często kłamliwe słowa.

Zawsze istnieją w tym typie widowiska dwa niebezpieczeństwa: zbytznego przeintelektualizowania czy też... stywalizowania obrazu pantomimicznego, po balecie zaś skłonności do „estetyzacji ruchu”, czy też po Marceau — do zawężania programu w ramy jednej wybitnej indywidualności. Tomaszewski postawił na zespół i na pantomimę ludową o akcentach satyryczno-groteskowych („Jasełka”), choć i komentarz o podkładzie filozoficznym w formie nieco abstrakcyjnej jest mu dość bliski („Człowiek i ptak”, „Idea”, „Ziarno i skorupa”). Wymaga to oczywiście i współpracy uważnego widza, zorientowanego w problemach współczesnej epoki, zarówno w technicznym, jak i humanistycznym aspekcie, co dopiero daje pełnię efektu pantomimicznego, wzbogaconego „niemymi rytmem i muzyką milczenia”.

„Jasełka” do wzruszającej muzyki J. Szajny-Lewandowskiej i scenografii K. Wiśniaka urzekają stylizowanym prymitywem, barwnością rekwizytu i ludową mądrością, tym bardziej, że w Ludmille Dąbrowskiej (wszechstronnie utalentowana pantomimiczka), jako Ewie, Stanisławie Brzozowskim jako Adamie i Pawle Roubie w roli drzewa — uzyskały tak świetnych wykonawców. Szopkowa antropomorfizacja (uczłowieczenie) nieba przykuwa oko i wzrusza, tym bardziej, iż „Jasełka” teraz podane znacznie odbiegły od tych z r. 1958. Zupelnie odmienny gatunek przedstawia eluda pantomimiczna „Człowiek i ptak”, mająca pokazać różnicę odbioru tego samego wrażenia, którego symbolem jest ptak — poprzez zmysły, rozum i wyobraźnię. Koncert ekspresji pantomimicznej dali tu w znakomitym kwartecie: St. Brzozowski (Ptak), P. Roubie (Zmysły) oraz L. Czarnota (Rozum) i J. Pieczuro (Wyobraźnia). Idealna w adaptacji nowoczesna muzyka A. Blocha i scenografia K. Pankiewicza składają się na przeżycie niezwykle i niepowtarzalne, nabierające w dobie lotów kosmonautycznych i spełnionej legendy o Ikarze i Dedalu podwójnej ekspresji dramatycznej.

„Woycekk” z mistrzowską interpretacją tytułową H. Tomaszewskiego zyskał jeszcze na czytelności, choć w sumie nie osiągnął harmonijnej dojrzałości „Płaszczka” — Gogola. Z niecierpliwością czekamy na nowy program z bajką o harliarzu i impresjami na temat chodu ludzkiego na czele.

